

Jutro będzie padał deszcz — Quentin

Od autora: Chciałem stworzyć "bajkę" w klimacie filmów Tima Burtona.

Mam nadzieję, że się udało.

Zapraszam.

„Jutro będzie padał deszcz”

Pracował intensywnie rylcem od kilku godzin. Przestał dopiero, gdy zapadł zmrok, który uniemożliwiał rzeźbienie. Świece nie dawały tyle światła, a to, jakby nie było precyzyjna robota. Prócz tego potrzebował chwili na rozprostowanie kości. Otrzepał więc spodnie z wiórów, a następnie zamiótł podłogę. Zerknął przy tym bez przerwy na pień, próbując rozpoznać w nim pożądany kształt. Droga była daleka, wszak ani kawał drewna, ani rzucany na ścianę cień nie przypominały niczego.

Po rześkim myciu leżał na wznak, wpatrując się w gwiazdy. Pomyślał o spacerze za rzekę. Krótki wypad dobrze by zrobił zdrętwiałym od siedzenia kończynom. Sama jednak wizja wyprawy spotęgowała zmęczenie tak bardzo, że mimowolnie ziewnął. Spanie na trawie nie wchodziło w grę. Już kilka razy stracił czujność, przez co stał się uczcą dla kleszczy.

Nocą zawsze wracają wspomnienia. Dawniej nie potrafił ich okiełznać, toteż odpoczynek graniczył z cudem. Teraz karmił wyobraźnię, jak i kiedy tylko chciał. Był innym człowiekiem. Zupełnie jakby przez lata samotności nie tylko dojrzał, a wzniósł się ponad swoje lęki. I nagle znowu nabrał sił. Bez chwili zwłoki chwycił za rylce, dłuto oraz młotek. Roboty przecież nie brakowało.

Jak zwykle o świcie wypił korzenny wywar na wzmocnienie, po czym wyruszył na obchód. W promieniu pięciu kilometrów od chaty znalazł wiewiórkę, lisa i jeża. Wszystko martwe. Z lisa i jeża niewiele zostało, ale za to wiewiórka wyglądała całkiem nieźle. Zawinął więc jej małe truchło w kawałek płóciennej ścierki i umieścił w plecaku. Resztę padliny zagrzebał w ziemi. Zawsze przy tej okazji spoglądał w niebo. Zmarszczył czoło, bo jak okiem sięgnąć ani śladu chmur.

Z powrotem szedł wzdłuż rzeki. Mógł przy okazji zboczyć na pole po marchew i ziemniaki na obiad. Nawet, jeśli ktoś go zauważy, bez problemu czmychnie do lasu. Noszenie padliny i warzyw w jednym plecaku nie było zbyt higieniczne, toteż produkty na obiad upychał po kieszeniach spodni, za pazuchą przeciwdeszczowej kurtki i w kapturze.

Niejednokrotnie nad rzeką znajdował także martwe bobry, nad którymi miejscowe dzieciaki uwielbiały się pastwić. W tym celu znosiły na brzeg kamienie i gruz, którymi bombardowały biedne stworzenia. Tym razem na szczęście nic nie znalazł.

Brzeg, a dokładniej wzniesienie tuż przy nim stanowiło również dobry punkt obserwacyjny. Wspinając się na sam szczyt można było dostrzec domy, szkołę, kościół, sklep, a dalej, w zakolu rzeki, nieczynny już młyn górujący nad wszystkimi budowlami miasteczka.

Na szczycie góry leżał przewrócony sosnowy pniak, na którym zakochani ryli swoje inicjały wpisane w serca. Jak przystało na miejsce schadzek w pobliżu nie mogło zabraknąć śmieci w postaci opróżnionych butelek po alkoholu oraz porzucanych tu i ówdzie prezerwatyw. Nie raz widział pary pielgrzymujących pod górę nastolatków dyszących ze zmęczenia lub podniecenia. Skryty pomiędzy gęstwą zarośli patrzył na smukłe i grube ciała dziewcząt. Ciała mlecznobiałe, zaróżowione i opalone od stóp do głów. Ciała jędrne i galaretowate, gładkie lub pokryte znamionami, suche i mokre. Na myśl o nich, cierpła mu skóra, a w skroniach buzowała gorąca krew. Wiedział, że żadna z dziewcząt, które podglądał, nie zwróciłaby nań uwagi. Nie zrozumiałaby ani nawet nie chciałaby zrozumieć. Mimo to pragnął doświadczyć tego, po co chłopcy wdrapywali się na samą górę.

Mniej lub bardziej wyraźnie słyszał rozmowy kochanków, szeptane i krzyżane jak zaklęcia. Czułe słówka wypowiedane w przerwie pomiędzy głębokimi westchnieniami lub szpetne przekleństwa, których prawdziwego znaczenia i sensu nie rozumiał. Wszystko katalogował w pamięci, żywiąc nadzieję, że kiedyś na własnej skórze przekona się, ile te słowa znaczą.

Wiewiórka będzie musiała poczekać na swój czas, pomyślał, spoglądając po raz kolejny w niebo. Deszczu wypatrywał i na wschodzie, i na zachodzie, a nawet na północy i południu, choć wiedział, że jeśli nadejdzie, to na pewno nie stamtąd. Nie czuł go ani nosem, ani porami skóry, ani nawet w kościach.

Wiedział, że smród rozkładu przyciągnie drapieżniki, toteż torbę z wiewiórką podwiesił pod okapem dachu.

– To nie potrwa długo – powiedział do martwego zwierzęcia.

Wszedł do chaty, gdzie czekał już gotowy do obróbki pniak.

Wyobraził sobie, że dotyka jedną z tych, która tak ochoczo odwiedzała wzgórze nad brzegiem rzeki. Widział ją trzy razy i to z różnymi chłopakami. Doszedł do wniosku, że z nią będzie najłatwiej. Z ręką wyciągniętą przed siebie próbował natrafić na miękki fragment białego ciała. Nie było zbyt jędrne, ale bez wątplenia przyjemne w dotyku. Dziewczyna uśmiechnęła się. Zamknęła oczy, przygryzła wargi i odchyliła głowę w tył.

– Powiedz coś... – rzekła cicho.

Przewertował kilka z zasłyszanych dialogów, po czym odparł:

– Uwielbiam twoje cycki.

Tamta uśmiechnęła się jeszcze bardziej.

Na jej nagiej piersi pojawiła się kropla. Najpierw jedna, potem druga i kilka kolejnych.

– Powiedz coś jeszcze... – nalegała dziewczyna.

– Deszcz...

Zbudził się w porę. Było jeszcze długo przed świtem, ale lało jak z cebra. Czym prędzej założył spodnie i przeciwdeszczową kurtkę. W ciemnościach nie potrafił znaleźć butów, toteż z chaty wybiegł boso. Z torbą w ręku pędził przed siebie co sił. Szybko pożałował, że nie zabrał butów, ale nie było czasu na powrót. Deszcz w każdej chwili może osłabnąć, a wtedy kto wie, ile to wszystko jeszcze potrwa. Najgorsze, że po raz pierwszy w życiu zawiódł go zmysł. Ta ulewa przyszła ze wschodu. Nie można było jej przeoczyć.

Kiedy przemoknięty dotarł wreszcie na miejsce, wyjął z plecaka truchło wiewiórki, a następnie złożył je pod drzewem. Lekko wystające spod ziemi korzenie układały się we wzór przypominający pajęczynę. Między korzeniami wezbrała woda. To dobrze, pomyślał. Drzewo potrzebuje dużo wilgoci. Pozostało jedynie czekać.

Czas płynął powoli. Wilgoć i zimno coraz bardziej dokuczały. Najpóźniej za godzinę pojawią się pierwsze objawy wychłodzenia. Możliwe, że skończy się zapaleniem płuc lub w najlepszym razie przeziębieniem i gorączką. Nie było jednak mowy o powrocie do domu. Nie, dopóki małe rude stworzonko leży zeszywniałe. W gruncie rzeczy nie musiał czekać, ale czuł, że tak trzeba. Że tylko na jego oczach może się udać to, czego pragnął.

Skrajnie wyczerpany dotrwał do rana. Wtedy to ostatnie krople deszczu spadły na korony drzew i nastała cisza. Nie trwała długo. Las szybko budził się do życia.

Spod przymkniętych powiek obserwował wiewiórkę. Wciąż leżała w tym samym miejscu, zaś woda wokół niej powoli wsiąkała w ziemię. Dwie godziny na słońcu i nie będzie śladu po ulewie.

Na zmianę walczył z sennością i zimnem. Prawdopodobnie miał już gorączkę. Oprzytomniał, gdy wiewiórka drgnęła. Od tamtej pory przyglądał się jej jeszcze uważniej. Naliczył trzy krótkie podrygi, zanim mały futrzak stanął na tylnych łapkach i otrząpał się z wody. Chwilę później zniknął gdzieś na drzewie.

Często w takich chwilach radość mieszała się ze smutkiem, w końcu każde zwierzę, które uratował, odchodziło natychmiast po odzyskaniu świadomości. Wówczas znowu zostawał sam. I tak do następnego razu.

Dwa dni zajęło mu dojście do pełnej sprawności. Wywar ze sprawdzonych ziół potrafił zdziałać cuda i to w mgnieniu oka. Wstępna kuracja polegała na odtruciu organizmu z toksyn. To najmniej przyjemny moment, który przeważnie potęguje złe samopoczucie i zmęczenie. Snu często towarzyszą niekontrolowane wizje. To jeden z tych momentów, gdy trudno okiełznać wspomnienia.

Znów był małym chłopcem wpatrzonym w ojca. Ojciec orał palcem w ziemi. Żłobił proste linie, łuki i

zygzaki. Przesypywał piasek między kciukiem a palcem wskazującym, po czym wycierał dłonie o nogawkę spodni.

– Tutaj jest dobrze – powiedział.

Tego samego dnia zniósł pierwsze kamienie z pól, mające posłużyć za fundament domu.

Pracował w pocie czoła całe lato. Do czasu, aż ojciec nie pokrył dachu strzechą, cała rodzina spała pod gołym niebem. Deszcz padał sporadycznie. To były piękne czasy.

Dużo później do ojca zaczęli przychodzić różni ludzie. Jedni pragnęli podleczyć gospodarskie zwierzęta, a jeszcze inni prosili o pomoc dla samych siebie. Ojciec ucierał pozbierane zioła w kamiennym moździerzu na drobny proszek. Przesypywał wszystko na papier, a następnie wręczał pakunek potrzebującym, nie biorąc w zamian ani grosza.

Zwierzętom przyglądał się z uwagą. Czy nie są bite, zaniedbywane albo czy gospodarze nie eksploatują ich zanadto. Ludzie stale mówili, co ich boli, od kiedy, a nawet z jakiego powodu. Zwierząt o zdanie nikt nie pytał, a jednak były mniej problematyczne.

– Ludzie nie znoszą prawdy – mawiał ojciec, który znikał na długie wędrówki za rzekę. Po kilku godzinach wracał z torbą pełną ziół. Bywało, że musiał prać ubranie śmierdzące padliną.

Po dwóch dniach wyszedł z chaty. Stopy wciąż miał poranione, mimo to energicznie maszerował przed siebie, spoglądając co kilka minut w niebo.

Ostatnim razem dał się zaskoczyć. Zmysł zawiódł, bo uwagę pochłonęło coś odrażającego. Zamiast czuwać na posterunku, on bujał w obłokach. Fantazjowanie o dziewczętach ze wzgórza wykroczyło daleko poza niewinną wyobraźnię. Czas z tym skończyć, pomyślał i zły na siebie przyspieszył kroku.

Zwolnił natychmiast, gdy dostrzegł coś dziwnego w miejscu, w którym rosły wilcze jagody. Rozejrzał się wokoło, po czym zboczył z wydeptanej latami ścieżki. W oczy rzucały się połamane gałęzie i ślady butów. Kawałek dalej, pośród wilczych jagód spoczywało ciało.

Dziewczyna leżała na plecach, z rękami i nogami ułożonymi wzdłuż ciała. Zadarta do samej góry błękitna sukienka odsłaniała białe majtki. Na głowę naciągniętą miała plastikową torbę.

Instynktownie zrobił krok w tył. Cofał się do momentu, aż nie wyczuł pod stopą twardego gruntu oznaczającego ścieżkę. Wtedy ruszył w kierunku domu.

W chacie przysiadł na łóżku. Dyszał ze zmęczenia. Ten, kto podrzucił ciało, wiedział, co robić. W tych stronach spotkać można co najwyżej grzybiarzy albo leśniczego. A i to rzadko, wszak zarzeczna część lasu wszystkim kojarzy się źle i nie ma wystarczającego powodu, by przekraczać granicę.

Doszedł do wniosku, że trzeba jak najszybciej powiadomić policję. To jednak wymagałoby pójścia do miasta i, co gorsza, wzięcia udziału w całym śledztwie. Jako samotnik i dziwak w opinii większości stałby się pewnym podejrzanym. W końcu, kto normalny od lat mieszka w lesie, który wszyscy omijają szerokim łukiem. Wyrok zapadnie, nim wszystkie okoliczności ujrzą światło dzienne.

Pozostaje jeszcze przenieść ciało na przykład nad rzekę lub w inne miejsce bliżej miasteczka. To jednak byłoby wyjątkowo nieodpowiedzialne. Nie dość, że pewnie pozostawiłby wiele śladów, to ktoś mógłby go zauważyć. A wtedy sprawa stanie się oczywista.

Nie robiąc nic, tak czy inaczej skazywał się na łaskę i niełaskę ludzi. Prędzej czy później ktoś zgłosi zaginięcie młodej kobiety, a wtedy poszukiwania doprowadzą śledczych za rzekę. Z trudem zapanował nad nerwami.

Wracał na miejsce powoli, jakby odwlekał moment konfrontacji. Czego by nie zrobił, jego los i tak został przypieczętowany. Rozumiał, że w ciągu najbliższych dni, wszystko się zmieni. Ojciec powiedziałby, że właśnie tak trzeba, ale jego już nie ma. Przepadł na zawsze niczym kamień rzucony w wodę. Nikt więcej nie pojmie, że tak właśnie trzeba.

Trzymał w ramionach zimne ciało. Jakże inne od tego, które sobie wyobrażał. Po ściągnięciu plastikowej torby okazało się, że dziewczyna ma rozbitą głowę. Krew, która spłynęła wiele godzin temu, posklejała brązowe włosy w sztywne płaty.

W chacie ułożył ciało na łóżku. Pozbył się natychmiast kleszczy, zaś do rany na głowie przyłożył wilgotny okład. Przysunął krzesło do łóżka i siedział bez ruchu, jak człowiek czekający na cudowne ozdrowienie krewnego.

Nieboszczka miała ładne kości policzkowe, dość wysokie czoło i mały nosek. Liczyła sobie najwyżej osiemnaście lat. Pomyślał, że ludzie w tym wieku chodzą jeszcze do szkoły, planują przyszłość: dokąd pójść do pracy, czy wyjadą na wakacje, albo kogo zaproszą na szkolny bal. Obserwował ludzi od tak dawna, że znał ich zwyczaje. Dawniej wiele czytał, ale odkąd wysypisko przeniesiono na drugi koniec miasteczka, ani prasa, ani książki do niego już nie docierały.

– Chciałbym wiedzieć, jak masz na imię – powiedział. – Ludzie chyba zwykle od tego zaczynają, prawda?

Minęło dopiero południe, toteż chwycił za rylec i precyzyjnymi ruchami zaczął nadawać rzeźbie kształty. Ustawił się tak, aby bez trudu mógł zerkać na martwą dziewczynę. Pracował do zmroku.

Noc spędził na krześle. Długo nie potrafił zasnąć.

– Ktoś, kto to zrobił, musiał cię nienawidzić – rzekł. – Czym sobie zasłużyłaś? Próbowалаś uciekać? Dobrze wiem, jak to jest. Mnie możesz powiedzieć, zresztą i tak nie masz wyjścia.

Poczuł, że ostatnie zdanie zabrzmiało niestosownie. Jak groźba, albo zła wróżba.

– Chciałem powiedzieć, żebyś się nie martwiła – dodał. – Wkrótce zobaczysz.

Kolejne dni nie zapowiadały jednak zmiany pogody. Wokoło panowała susza. Wypatrywanie deszczu choćby z najmniejszej chmury było niepoprawnym optymizmem. Nie miało nic wspólnego z naukami oj-

ca.

W chacie zagnieździła się chmara much.

– Wynocha, ścierwa! – przeklinał, wachlując coraz bardziej rozkładające się ciało.

Na próżno. W miarę jak skóra dziewczyny nabierała szarości, owadów przybywało. Tylko otwarte na oścież drzwi pozwalały jakoś wytrzymać wewnątrz chaty.

W akcie desperacji do głowy przyszedł mu pomysł. A co, gdyby sztucznie nawodnić daglezję? Mógłby, dajmy na to, nanieść wody z rzeki. Przypuszczalnie zajęłoby to większą część dnia, ale przynajmniej nie czekałby na cud.

Po chwili refleksji zrezygnował z wysiłku. Przecież właśnie tu tkwi problem, skarcił sam siebie. Nie można zapanować nad przyrodą. Ten, kto igra z żywiołem, bierze więcej niż powinien. Łamie zasady, które obowiązują od wieków. Ojciec nie byłby zadowolony.

Zły na siebie poszedł jeszcze raz tam, gdzie rosły wilcze jagody. Już wcześniej pozacierał wszystkie ślady mogące świadczyć o tym, że miał cokolwiek wspólnego z morderstwem. Ktoś zadał sobie wiele trudu, pomyślał. Przez most można przejechać samochodem, ale dalej trzeba iść pieszo. Sprawca, może sprawcy, działali pod osłoną nocy. Musieli być tutejsi, w końcu znali okolicę i wiedzieli, gdzie porzucić martwą dziewczynę. Nie wiedzieli jednak wszystkiego. Od mostu szli z pół kilometra w głąb lasu. Nawet nie podejrzewali, że kroczą równolegle do ścieżki. Brakowało im latarki, orientacji w terenie i czasu. Ciało porzucili w zbyt widocznym miejscu. Spanikowali, a może opadli z sił...? Byli młodzi, porywczy i okrutni.

Położył się na trawie. Otoczony krzaczkami czarnych owoców patrzył w górę. Korony pobliskich drzew chroniły go przed słońcem. Pomyślał, że w tym miejscu było jej (dziewczynie) dobrze. Nie dusiłaby się w prześmiardłej padlinie chacie. Gdyby tylko nie nakładali jej reklamówki na głowę. To straszne.

Nocą mogłaby patrzeć w gwiazdy. Nieopodał rosłą konwalie, pięknie pachną, zwłaszcza zerwane, umieszczone w wazonie.

– Pokazałbym ci kilka miejsc – powiedział. – Miałbym z kim dzielić sekrety.

Po tych słowach korony drzew zatrzepotały liśćmi. Ni z tego ni z owego zerwał się wiatr. Był to wschodni wiatr, nie do pomylenia z żadnym innym. Rzadkie chmury, rozstrzelone po całym niebie, zbiły się w jedną całość. Poczuł kroplę, która wylądowała mu na czole.

Szarą, zapadniętą twarz dziewczyny obmywała deszczówka wymieszana z piaskiem. Jego rola polegała na czuwaniu, aby woda zbyt obficie nie przedostawała się do na wpół otwartych ust. Jeśli nawet marnował czas, potrzebował mieć pewność.

Kiedy pod palcami dłoni poczuł, że jej policzki drżą, oniemiał. Pierwsze sygnały były drobne, ledwie do-

strzegalne, ale oznaczały, że w dziewczynie tłą się resztki życia. Przy pomyślnych warunkach, może... powróci.

O zwierzętach nie myślał w ten sposób. Pomagał im po prostu przejść przez pewien szczególny proces. Zawsze asystował podczas powrotu, ale tak naprawdę nigdy nie oczekiwał, że zyska przyjaciela na całe życie. I chociaż było mu przykro, gdy po raz wtóry zasiadał w pustej chacie, pozostawał bezinteresowny. Niczym ojciec, który za porady i zioła nie brał ani grosza.

Teraz wszystko się zmieniło. Potrzebował dziewczyny. Nie zmyślonej, a prawdziwej. Pełnej doświadczeń z tamtego świata. Potrzebował czasu i okazji, by zadać setki pytań. W końcu usłyszałby historie inne niż te pochodzące od ojca. Poznałby zupełnie nowe rozdziały cudzych losów.

Leżała nieruchomo na łóżku, zaś on liczył momenty, gdy poruszała powiekami. W mrugnięciach nie było żadnej emocji. Co jakiś czas powieki po prostu odsłaniały puste, ciemne oczy. Przypominało to bardziej mimowolny skurcz niż świadomy odruch.

Ciało przestało wydzielać przykry zapach, ale rana na głowie wymagała ponownego oczyszczenia i okładu z mieszanki ziół. Deszcz zmył zakrzepłą krew, odsłaniając pukle lekko poskręcanych włosów. Biedaczka wyglądała jeszcze młodziej.

Na policzki i usta powoli wracał jasnoczerwony kolor. To dobry znak, pomyślał, zmieniając po raz kolejny okład.

Trzy dni czuwania przy łóżku w końcu ścięły go z nóg. Zasnął odliczając kolejny ruch powiek.

Wtedy znowu dopadła go przeszłość...

Matka wołała na obiad, gdy Napoleon spojrzał na niego tak, jakby zamierzał rozerwać wszystko i wszystkich na strzępy. Napoleon był kundlem, niezbyt ładnym i wyjątkowo małym, ale za to charakternym jak sto diabłów. Tak przynajmniej mawiał ojciec.

Kilka dni wcześniej ojciec powiedział:

– Nie zbliżaj się do Napoleona. Jest chory, ale teraz nie mam czasu, żeby się tym zająć.

Od tamtej pory pies spędzał czas na łańcuchu.

Tamtego dnia szarpał się tak bardzo, że buda, do której umocowano łańcuch przesunęła się o dobre ćwierć metra. Szczekał co prawda niewiele, ale za to warczał jak opętany.

Kiedy matka wyszła na dwór, pies się wycofał. Podkulił ogon i mruczając pod nosem wrócił do budy.

– Mamo, czy Napoleon wyzdrowieje? – zapytał chłopiec.

– Nie wiem – odparła kobieta, po czym przygładziła synowi włosy.

Psa jakby raził piorun. Z dziką furią wyskoczył z budy i wyrwał się naprzód. Chłopiec i matka upadli, zaś Napoleon zaczął kręcić się w kółko. Wirował tak długo, aż łańcuch okręcił mu całą szyję. Wówczas biedaczyna huknął w budę i tocząc pianę z pyska, skonał.

Gdy ojciec wrócił wieczorem do domu, powiedział tylko:

– Tak sądziłem.

Potem zjadł kolację i poszedł na podwórko, by pogrzebać psa.

Chłopiec przyłapał go podczas kopania dołu.

– Idź do domu – nakazał ojciec.

– Czy Napoleon poszedł do nieba? – zapytał malec.

– Jeszcze nie.

– Może zaniesiemy go do lasu, za rzekę?

Ojciec przestał kopać. Przez chwilę w ogóle się nie ruszał. W końcu wbił szpadeł w ziemię i odparł:

– Wracaj do domu. Już późno.

Ludzie w miasteczku mówili, że to kara. Uważali, że ojciec i matka robią rzeczy, o których nikomu nie wolno było choćby pomyśleć. Dzieciakowi też musi coś dolegać, skoro rówieśnicy omijają go szerokim łukiem. Jeśli w okolicy kukurydza nie wzeszła jak trzeba, mówili, że ojciec rzucił urok, przecież przechodził tamtędy nie raz. Rzeka zalała pole? Susza spaliła ziemię? Trafił się wyjątkowo nieurodzajny rok? Tak czy inaczej we wszystkim palce maczał ten małomówny dziwak, który nocami chodził po lesie, diabli wiedzą po co.

Matkę czasem nazywano wiedźmą. Podobno, gdy tylko zechciała, spojrzeniem zabijała kocięta. Nucenie pod nosem wciąż odbierano jako złorzeczenie, a chociaż jej kwiaty zakwitały najpiękniej w okolicy, nikomu do głowy nie przyszło, by sądzić, że potrafi coś więcej ponad przyzywanie złych mocy. Ludzie już dawno przestali ufać swym dziwnym sąsiadom. Coraz trudniej było im także zachować cierpliwość.

To właśnie z ust matki padły po raz pierwszy słowa:

– Powinniśmy wyjechać.

Na twarzy ojca zagościł nie tylko gniew, ale przede wszystkim zmęczenie. To trwało już zbyt długo...

Spadł z krzesła na prawy bok. Ocknął się w chwili, gdy gruchnął o podłogę. Zdrętwiały długo dochodził do siebie. Nie wiedział ani kiedy stracił świadomość, ani ile ruchów powieką naliczył do tego czasu. Co gorsza, gdy podniósł wzrok z podłogi, ujrzał puste łóżko. Od razu pomyślał, że wszystko wyśnił. Dziewczynę, deszcz, historię z morderstwem i kto wie, ile jeszcze. Najpierw mu ulżyło, ale potem poczuł dokładnie to samo, czego doświadczał nie raz pod daglezią, gdy pozostawał sam.

Na zewnątrz było całkiem jasno, czyli minęła co najmniej doba, odkąd zamknął oczy. Powłócząc nogami dotarł do drzwi. Otworzył je, jak się okazało, zbyt szeroko, bo ostre światło natychmiast uderzyło po oczach. Aż zasyczał z bólu.

Błękitna plama, którą dostrzegł, wydawała się pulsować gdzieś w pobliżu między drzewami. Skupiał całą uwagę na jednym punkcie, dopóki obraz stał się wystarczająco ostry, a tło przestało „płynąć”. Błękitna plama od razu nabrała bardziej regularnych kształtów. Teraz widział wszystko dokładnie. Smukłe nogi i ręce, odsłonięte plecy pokryte piegami, rozczochrane włosy, bose stopy grzęznące po kostki w trawie i małe dłonie przylegające do pnia drzewa. Powróciła. Dziewczyna, którą znalazł w wilczych jagodach powróciła.

Na widok obdartego i zarośniętego mężczyzny zareagowała biernością. Raz tylko spojrzała w jego kierunku, po czym, najwyraźniej zafascynowana fakturą drzewnej kory, rozpoczęła nową wędrówkę po rowkach i zagłębieniach rozmieszczonych na pniu. Każdy ruch wykonywała niemal z perwersyjną dokładnością. Było to niezwykle, biorąc pod uwagę okoliczności ostatnich dni. Dziewczyna na nowo poznawała świat, który utraciła.

– Wróciłaś... – przemówił i jakby nie wierząc w to, co przed chwilą usłyszał, powtórzył: – Wróciłaś...

Nigdy jej nie popędział. Każdą czynność wykonywała wedle własnego uznania. Czasem potrafiła godzinami ubijać zioła w moździerz, nie spuszczając ani na sekundę wzroku z wnętrza kamiennej miseczki. Nie docierały do niej wówczas żadne inne bodźce. Mógłby krzyknąć jej prosto do ucha – czego oczywiście nie robił – a ta nie drgnęłaby. Ciężko powiedzieć czy dawniej było podobnie, ale po powrocie z pewnością skryła się za grubym murem. Możliwe, że wciąż miała w pamięci dzień, gdy przeszła na drugą stronę.

Pomimo, że nie był przekonany co do swojej metody, wciąż opowiadał różne historie.

– Razem z ojcem chodziliśmy na ryby. Miałem osiem lat, gdy łapałem takie duże szczupaki. Ojciec powiedział, że im szybciej się nauczę, tym lepiej. Jadłaś kiedyś rybę? Pewnie że jadłaś. Są smaczne, kiedy tylko masz sól i trochę przypraw.

Trudno było liczyć na jakąkolwiek odpowiedź, ale raz doszło do prawdziwego przełomu. Podczas gdy dziewczyna rozdrabniała ususzone liście tabaki, on plótł wiklinowy kosz. Umiał sobie przy tym czas nuceniem melodii, której nauczyła go matka. To była kołysanka. Wszystkie dzieciaki знаły ją ze szkoły. Najwyraźniej dziewczyna także, bo po krótkim wprowadzeniu wypuściła z dłoni brązowe liście. Następnie obeszła stół i siadła na podłodze tuż obok wiklinowych gałązek. Patrzyła śpiewającemu mężczyźnie prosto w oczy. Gdy zamilkł, położyła dłoń na jego szczeciniastym policzku. Zaczął więc od nowa. Trwało dłuższą chwilę, nim oboje zsynchronizowali ruchy swoich ust tak, aby melodia nie brzmiała chaotycznie i fałszywie. Mur wokół dziewczyny powoli kruszał.

Sny. Dziewczyna nie miała ich w ogóle. Właściwie w jej przypadku spanie polegało na całonocnym patrzeniu w sufit. Co do prawdziwego snu, ten przychodził niespodziewanie. Przeważnie dopadał ją na krześle podczas nużącej pracy lub gdy razem leżeli w trawie obserwując niebo. Pokazywał jej, z której chmury może spaść deszcz i kiedy.

We śnie nigdy nie dawała znaków życia. Oddychała tak płytko, że tylko minimalny ruch piersi świadczył o wypełnianiu płuc powietrzem. Nie mamrotała, stale trwała w tej samej pozycji. Wszystko wskazywało na to, że „wewnątrz” nie zachodzą żadne procesy mogące prowokować do fantazjowania. Zachodził w głowę czy to w ogóle możliwe, ażeby uwolnić człowieka raz na zawsze od tego ciężaru.

Sam padał ofiarą wizji z przeszłości nieomal za każdym razem, gdy tylko odpływał ze zmęczenia. Jak długo mógł, wspomagał się mieszkanką ziół. Prędzej czy później musiał jednak uznać wyższość organizmu żądającego odpoczynku.

W chacie miał tylko małe, popękane lusterko. Gdy zajrzał doń ostatnim razem, uzmysłowił sobie, że bardzo upodobił się do ojca. Ta sama ziemista cera, gęste włosy zagarnięte do tyłu, zarost i, o zgrozo, zmęczona twarz. Jako dziecko bał się widoku zapadniętych policzków i podkrążonych oczu. Teraz przebił nawet własnego ojca. Przede wszystkim prześcignął go w latach, a to sprawiło, że swoje wycierpiał. Wieloletnia samotność wykańczała go powoli, ale za to skutecznie. Może gdyby popadł w alkoholizm, koniec nastąłby szybciej.

Odkąd wziął pod swoje skrzydła dziewczynę, nie zbliżał się ani do wzgórza, ani do mostu. Nad rzekę chodził co najwyżej po to, by zaczerpnąć wody. W końcu należało jednak zrobić obchód. Bobry, ukamienowane przez zwyrodniałe dzieciaki, nie mogły czekać.

Jak zawsze zależało mu na dyskrecji, toteż nim podszedł do samego brzegu rzeki, poobserwował okolicę z zarośli. Przez ten czas mostem przebiegł tylko bezpieczny pies.

Tym razem żaden bóbr nie oberwał kamieniem. Nikt też nie utopił w worku kociaków. Nie wierzył w trwałą zmianę. Wieloletnie obserwacje nauczyły go, że ludzie, a zwłaszcza dzieciaki nie mają sumienia, jeśli idzie o zabawę. Wystarczy, że uznają coś za rozrywkę, a zdrowy rozsądek nie gra żadnej roli.

Tuż przy brzegu dryfowała sterta śmieci. To także zwyczajny element tutejszego krajobrazu. Było jednak też coś, co odbiegało od normy. Na słupie oznajmającym, że teren za mostem należy do nadleśnictwa, wisiała kartka. W oczy rzucał się najbardziej napis u góry strony *ZAGINIONA*. Kolejne cztery linijki tekstu głośiły:

Dnia 11 sierpnia br. zaginęła Alicja Maurer, lat 16.

Gdy widzieliśmy ją ostatnim razem, ubrana była w błękitną sukienkę oraz białe sandały.

Wybierała się na potańcówkę w remizie. Jeżeli ją widziałeś/łaś, prosimy o informację.

Resztę strony wypełniało czarno-białe zdjęcie uśmiechniętej dziewczyny trzymającej na rękach puszystego kota.

A l i c j a. Powtarzał sobie to imię, gdy głaskał śpiącą dziewczynę po głowie. Właściwie powtarzał je całą drogę do domu, nie mogąc przestać. Policzył sylaby, litery, wyrecytował je wspak. Nazwiska nie kojarzył w ogóle z czasów, gdy żył wraz z rodzicami w miasteczku. W końcu upłynęło już tyle lat.

Kiedy się zbudziła, poprosił, by usiadła przy stole. Sam zaś zajął miejsce naprzeciw. Pokazał na dziewczynę palcem i rzekł:

– Alicja.

Tamta skinęła głową, otwierając jednocześnie usta. Chciała po nim powtórzyć, jak robiła to przy nuceniu kołysanki. Nie potrafiła jednak wydobyć z siebie choćby sylaby.

Nic to, pomyślał, po czym wskazał palcem na siebie.

– Melchior – powiedział z krótką pauzą po pierwszej sylabie.

Alicja dotknęła jego dłoni.

Pierwszy raz od lat wypowiedział swoje prawdziwe imię na głos. Dziewczyna najwyraźniej zrozumiała, jakie to trudne, bo okazała wsparcie. A więc rozumiała. Rozumiała więcej, niż można by przypuszczać. Dotyk jej ciepłych i delikatnych dłoni wyrażał więcej niż jakiegokolwiek słowa.

Do chaty wpadł lekki podmuch wiatru. Oboje zwrócili na to uwagę.

– Ty wiesz, prawda? – zapytał. – Też czujesz nadchodzący deszcz? Spadnie jutro do południa. Chodźmy.

Wychodząc na zewnątrz, zabrał ze sobą plecak.

Ostatnim razem dzielił tę szczególną chwilę z ojcem, gdy jako mały chłopiec wpatrywał się w pisklę brodzące w wodzie wezbranej między korzeniami. Pisklaka wróbla znalazł sam, pod drzewem nieopodal domu. Najwyraźniej wypadł z gniazda. Wówczas od razu pomyślał o ojcu, który przecież zawsze pomagał

zwierzętom. Na widok ledwo co opierzonego ptaszka ojciec powiedział:

– Pochowamy go na podwórku.

Malec jednak nie zamierzał odpuścić.

– Nie – odrzekł. – Zaniesiemy go do lasu. Razem.

Mężczyzna spojrzał najpierw na syna srogo, po czym zabrał mu z ręki pisklę. Obejrzał stworzonko z każdej strony.

Mały Melchior zapamiętał drogę. Obiecał jednak ojcu, że nigdy bez pozwolenia nie wybierze się za rzekę. Nigdy też nie zdradzi ich wspólnego sekretu.

– Widzisz, synu – rzekł ojciec. – Ludzie nie lubią prawdy.

Trzymając dłoń Alicji czekał, aż polny zając drgnie łapkami. Tym razem był spokojny. Dziewczyna za to napięła się jak struna. Skryta pod kapturem wielkiej, przeciwdeszczowej kurtki nieomal dopingowała zwierzę. W końcu zdjęła kaptur i patrząc do góry, obmyła twarz. Po ranie na głowie nie było prawie śladu.

Wirując w strugach deszczu przypominała kwiat rzucony do rwącej rzeki. Dziewczyna miała w sobie nie tylko wdzięk, ale też moc, o jaką trudno podejrzewać zwyczajnych ludzi. Rozumiała i czuła więcej. Była najprawdziwszym cudem, a wszystko to, nie inaczej, na jego oczach.

Pragnął widoku drugiej osoby. Dlatego godzinami przesiadywał w krzakach, podglądając zakochane pary. W głowie miał słowa ojca, który przestrzegał przed otwieraniem się, przed wylewnością. Przed tym wszystkim, co każdy robi, by doświadczyć bliskości. Skryty między zaroślami nie różnił się wiele od dewiantów poszukujących wrażeń, ale teraz koniec z tym. Już na zawsze porzuci dawne zwyczaje. Wreszcie otrzymał to, czego pragnął.

Zając kilkoma niezgrabnymi ruchami zamieszał wodę wokół siebie, a potem czmychnął w las pod czujnym okiem odczarowanej Alicji. Dziewczyna spojrzała na Melchiora tak, jakby pytała: *widziałeś...?*

Wziął ją za rękę i oboje wrócili do chaty.

Rodzice stanęli na ślubnym kobiercu, gdy matka miała osiemnaście lat. Ojciec był niewiele starszy, ale bardzo zależało mu na założeniu rodziny. Uważał, że na resztę rzeczy człowiek zawsze znajdzie czas.

– Mama pokazywała mi kiedyś zdjęcie zrobione w dniu ślubu – wyznał Melchior przed Alicją. – Pamiętam, że miała na głowie wianek z kwiatów. Ojciec nie zapuścił jeszcze brody. Chciałabyś wianek? Moglibyśmy nazrywać pójść na łąkę.

Tak też zrobili. Zebrali mnóstwo stokrotek, chabrow i maków. Pogoda była piękna, ale z oczywistych powodów spacer brzegiem rzeki nie wchodził w grę. Alicję na długo pochłonęła praca nad wiankiem. W tym czasie Melchior uprał parę spodni, mogących uchodzić dawniej za eleganckie, a także koszulę. Wszystkie ubrania, jakie posiadał, zebrał na wysypisku. Zarówno spodnie jak i koszula wymagały drobnej naprawy, ale lata spędzone na odludziu rozwinęły kilka sprawności, toteż bez problemu zacerował dziury czy rozdarcia. Żałował jedynie, że odrzucił tyle egzemplarzy damskiej garderoby, które w obecnej sytuacji mogłyby sprawić wiele przyjemności Alicji.

Właśnie to w niej podziwiał najbardziej. Szczerą radość z małych rzeczy. Nigdy wcześniej nie widział, by ktoś z taką fascynacją obserwował biedronkę chodzącą po parapecie lub „kapał się” w strugach deszczu. Ludzie na ogół nie dostrzegają niczego wartościowego w rzeczach prozaicznych. Tylko ktoś, kto stracił wszystko może zrozumieć, jak wiele jeszcze mu pozostało. Tak bardzo chciał oświecić wszystkich, zawrócić ich z drogi, którą uczęszczali. Przecież nikt inny tego nie robi. Na pewno.

Wyobrażał sobie nawet, że staje na szczycie wzgórza i krzyczy tak, że głos niesie się wysoko nad miasteczkiem. „Płynie” nad dachami domów, nad szkołą, mija stary młyn, zatacza koło nad iglicą kościoła. Ludzie wychodzą na zewnątrz, patrzą w górę i wtedy na całe miasteczko spadają pierwsze krople. Deszcz najpierw delikatnie obmywa twarze mieszkańców. Jest ciepły, zupełnie niegroźny. Po chwili nabiera mocy. Minuta po minucie na miasteczko spadają coraz większe masy wody. Ulice przypominają rwący potok. Żywiół wdziera się do mieszkań, zabiera ze sobą różne przedmioty, podmywa słabsze budynki. Nadciąga wielki kataklizm.

Tłum w popłochu ucieka zabierając tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Jedynym bezpiecznym miejscem jest wzgórze po drugiej stronie rzeki. W końcu muszą stanąć przed jego srogim, brodatym obliczem. Stara się wyglądać jak ojciec, gdy miał coś ważnego do powiedzenia.

– Jesteście – oznajmia zebrany. – Zrozumieliście wreszcie? Spójrzcie na siebie. Od teraz wszyscy będziemy równi.

– Możemy go zabrać z powrotem do domu? – spytał mały Melchior.

– Nie – odmówił ojciec, wkładając pisklę do wcześniej przygotowanej dziupli. – Od teraz będzie żył tutaj. Musisz wiedzieć, synu, że wszystko ma swoje miejsce i czas. Nikomu nie wolno o tym zapominać.

Niedługo potem w miasteczku rozpanoszyła się najprawdziwsza zaraza. Dzieci i dorosłych rozboleły brzuchy. Przyszedł stan gorączkowy, który wykończył słabowitych i najstarszych. Kiedy interwencja lekarska nie poprawiła stanu rzeczy, ludzie w akcie desperacji zwrócili się o pomoc do ojca.

– To przez wodę – powiedział tamten. – Trzeba znaleźć inne ujęcie. Póki co weźcie zioła i nagotujcie z nich wywaru.

Swoją radą części przyniósł wybawienie, ale ci, dla których było już za późno, nie mogli odmienić

własnego losu.

Tamtego lata na miejscowym cmentarzu przybyło kilkadziesiąt mogił. Pochyleni nad grobami znajomych i rodzin żałobnicy zaczęli szukać kozła ofiarnego. Niektórzy zauważyli, że po chorych śmierć przyszła dopiero, gdy ci wypili ziołowy wywar.

W pewnych chwilach ludzie nie wiedzą co robić. Nie potrafią dojść do porozumienia i potrzebują sternika. W innych natomiast podjęcie decyzji przychodzi im z łatwością. Wystarczy, że kilka myśli spotka się w tym samym miejscu. Nie trzeba trwonić czasu na zbędne słowa, w końcu i tak wiadomo, o czym wszyscy myślą.

Kiedy wrócił z podwórka matka ocierała łzy rąbkiem fartucha. Ojciec zaś głaskał ją po ramieniu.

– Podejdź, synu – powiedział.

– Tak, tato...?

Ojciec przykucnął tak, aby mogli spojrzeć sobie w oczy.

– Zaprowadzisz mamę do lasu. Znasz przecież drogę. Poczekacie tam dzień lub dwa, a potem pójdziecie na południe. Lasem. Zrozumiałeś?

Dzieciak pokiwał głową. Spojrzał na matkę, na jej czerwone oczy i zaciśnięte usta.

– Obserwuj dokładnie niebo – mówił dalej brodaty mężczyzna. – Kiedy będzie zbliżał się deszcz, od razu powiedz mamie.

W drodze do lasu matka trzęsła się jak osika. Po dotarciu na miejsce siedli oboje pod drzewem daglezi. Matka rozwinęła jeden z tobołków, w którym trzymała jedzenie. Nikt nie miał jednak apetytu. Trwali w milczeniu, dopóki kobieta nie powiedziała:

– Poczekaj tu na mnie, kochanie. Zaraz wracam. Wiem, że jesteś bardzo dzielny.

Wtedy widział swoich rodziców po raz ostatni.

Wiedział, że nie powinien tego robić, ale o świcie wrócił do miasteczka. Dym ujrzał z daleka. Ogień strawił jego dom doszczętnie. Z dębu rosnącego kawałek dalej zwisały dwa przecięte sznury.

Szli w promieniach słońca przez szpaler drzew. Cały czas trzymali się za ręce. Dziewczyna niosła ze sobą bukiet polnych kwiatów. Z wiankiem na głowie wyglądała przeuroczo.

Melchior w białej pocerowanej koszuli ze sztywnym kołnierzykiem czuł się trochę skrzepowany. Zupełnie

jakby paradował środkiem kościoła, wypełnionego po brzegi weselnikami. Zgodnie ze zwyczajem z przodu powinni stać jego rodzice. Tak bardzo pragnął ujrzyć ich wesołe twarze.

Alicja była oczarowana kwiatami. Nie zauważyła nawet, gdy dotarli do wzgórza przy moście. Dzień wcześniej Melchior uprzątnął okolicę ze śmieci. Na pniu, gdzie siadywali zakochani, wyłobiał nawet serce z inicjałami A + M. Początek zaślubin obwieścić miał kościelny dzwon bijący każdego dnia w południe. Chciał, by dziś dzwon zagrał specjalnie dla nich: na szczęście, na nową drogę życia. Pragnął, by Alicja go usłyszała i zapamiętała tak, aby każdy kolejny dzień przypominał jej o tej wspaniałej chwili.

– Jak ci się podoba? – zapytał, kiedy stanęli na wierzchołku wzgórza.

Panna młoda ogarnęła swym spojrzeniem całe miasteczko. Drgnęła. Zachodził w głowę czy to możliwe, aby atmosfera zdenerwowania udzieliła się i jej. Czy ona także czuła, że nastał dzień, który już na zawsze uczyni ich rodziną? Jeszcze kilka tygodni wcześniej przechodziła na drugą stronę. Umęczona, skatowana, odarta z godności i z pewnością przepełniona strachem, jaki wyciska z ofiary ostatnią nadzieję. Ktoś najpierw zgotował jej piekło, na skutek czego otarła się o niebo, by ostatecznie powrócić do świata, który nie potrafił niczego uszanować. Być może wyświadczył jej tym niedźwiedzią przysługę, ale przecież nie mógł tak po prostu odejść i zapomnieć. Nie był pewien czy się uda, ale spróbował i teraz stoi u progu szczęścia.

Nastało południe. Dźwięk dzwonów wystraszył dziewczynę, dlatego mocniej chwycił ją za dłoń. Coś było jednak nie tak. Alicja rozglądała się dookoła z niepokojem.

– Źle się czujesz? – zapytał, jednak dziewczyna coraz bardziej popadała w paranoję.

Upuściła bukiet. Złapała się za głowę i zaczęła rozszarpywać wianek. Przewrócony pień, widok na miasteczko, dzwonnica – wszystko to przywołało wspomnienia. Melchior najlepiej wiedział, co z człowiekiem mogą zrobić przykre wspomnienia.

Alicja padła na kolana, po czym zgięta w pół przyłożyła głowę do kamienia wystającego spod ziemi. Dzień wcześniej, podczas przygotowań do ślubu, Melchior próbował go wydobyć, ale spod ziemi wystawał tylko wierzchołek potężnej skały. Prędzej przekopałby wzgórze wzdłuż i wszerz, niż usunął tę monstrualną przeszkodę.

Z największą delikatnością dotknął ramienia swojej wybranki. Gest ten okazał się błędem, gdyż zamiast ukoić nerwy, wprawił dziewczynę w jeszcze gorszy stan. Ta natychmiast zerwała się na równe nogi i krzycząc na całe gardło zbiegła ze wzgórza.

– Nie rób tego! – zawołał, ale było za późno.

Panna młoda gnała przed siebie na ślepo. Wyhamowała dopiero na moście, gdy nagle coś odebrało jej wszystkie siły. Po prostu padła bezwładnie, jak wisielec odcięty ze stryczka.

W nadziei, że nikt z miasteczka nie słyszał krzyków dobiegających znad rzeki, ruszył czym prędzej najbardziej stromym zboczem wzniesienia. Wziął dziewczynę na ręce i zaniósł prosto do chaty.

Przyglądał się z czułością leżącej na łóżku pannie młodej, której we włosach pozostało kilka kwiatków. Oddychała powoli, bardzo płytko. Regularnie zmieniał chłodne okłady, które rozmięścił na czole, ramio-

nach i dekolcie nieprzytomnej.

A więc wszystko wydarzyło się na przeklętym wzgórzu. Jakiś drań zaciągnął ją tam, żeby wykorzystać. Nie planował zabójstwa, ale gdy nie dostał tego, czego pragnął, wpadł w furję. Przeklęte wzgórze! – powtarzał. Miejsce dobre dla zboczeńców i mniej lub bardziej wyrachowanych kurewek. Jak w ogóle mógł pomyśleć, że Alicja zechce go poślubić w takich okolicznościach. Był głupcem, który zbyt wiele czasu spędził na podglądaniu niewłaściwych ludzi. Jakżeż mógł tak się pomylić...

Zły na siebie jak diabli wyszedł, strącając po drodze wazon z kwiatami. Za chatą podwieszona pod dachem dyndała siekiera. Wziął ją.

Nie zwracając uwagi na otoczenie pomaszerował prosto na wzgórze. Z siłą dzikiego zwierzęcia uderzył po raz pierwszy w sam środek przewróconego pnia. Potem tłukł siekierą z zaciekłością godną szaleńca, raz po raz, wzbijając w powietrze wióry. Niespełna kwadrans wystarczył, by przepołowić pniak. Po wszystkim poderwał najpierw jeden kawałek, potem drugi i cisnął je na dół.

Do domu wracał wyczerpany z koszulą lepiącą się do ciała. Nie miał nawet siły, by zmienić ubranie. Siekierę odłożył na stół, po czym usiadł przy łóżku. Pięć minut później spał odchylony w tył, a po policzkach ściekał mu pot wymieszany ze łzami.

Przyszli po niego nocą. Wywlekli z chaty i rzucili przed tłum zakapturzonych ludzi. Nie widział żadnej z twarzy. Jedna postać bezimiennego zgromadzenia wystąpiła naprzód. Nakazała ucałować krucyfiks. Wówczas poczuł, jakby przyłożył usta do rozżarzonego metalu. Smród palonej skóry.

Gałąz jednego z drzew zaaranżowano na szubienicę. Kat naciągał właśnie sznur, by sprawdzić czy wytrzyma ciężar.

Ojciec znowu przesypywał w dłoniach piasek. Sprawdzał czy ta ziemia będzie łaskawą dla prochów jego całej rodziny.

– Tutaj jest dobrze – oznajmił.

Ojciec był zmęczony. W zatrutej wodzie ujrzał swój los i wiedział, że nie powinien więcej uciekać, dlatego naszykował wcześniej dwa sznury – dla siebie i matki, w końcu wiedział, że wróci. Kiedy przyszli, odcięli rodziców i umieścili w domu. Wystarczyło tylko dodać ogień i problem zniknął raz na zawsze.

– A gdzie chłopiec? – zapytał ktoś z tłumu.

– Kogo to obchodzi – usłyszał w odpowiedzi. – Sam zdechnie i to szybko.

I mieli w zasadzie rację, choć pomylili się o wiele lat, bo tyle właśnie zdychał.

Kat odkopnął skrzynię na bok.

Obudziła się dopiero następnego dnia. Na stole ujrzała przewrócony wazon i siekierę. Z włosów wygrzebała resztki kwiatów, które wylądowały na podłodze. Nie bez trudu dokuśtykała do drzwi.

W jej zapuchnięte oczy uderzyło ostre światło, jakby dostała prosto w twarz garścią żwiru. Na ślepo przeszła kawałek, po czym podniosła powieki raz jeszcze, ostrożnie. Ujrzała krajobraz znajomych drzew i wisielca. Podeszła bliżej. Siadła na skrzyni i zaczęła nucić kołysankę.

Otworzył szeroko oczy. Nabrał jednocześnie powietrza niczym topielec wynurzający się na powierzchnię po raz ostatni. Jak na połowę września było bardzo zimno, a do tego padał rześisty deszcz. Siedząc w kałuży, oparty plecami o pień daglezi truchlał z zimna. Od razu chciał wstać, byleby tylko nie marznąć, niestety zdrętwiałe mięśnie odmawiały posłuszeństwa.

Trzy, może cztery metry dalej leżała na ziemi ułamana gałąź. To ona posłużyła mu jako laska, na której mógł się wesprzeć.

Przygarbiony, niemal poskręcany od skurczów dowlókł się wreszcie do chaty. Ujrzał zwisający z drzewa przecięty sznur. Pod drzewem leżała skrzynia i siekiera. Ruszył prosto do chaty.

Pierwszą rzeczą, jaką zrobił, było wydobywanie ze sterty rupieci lusterka. Po wstępnych oględzinach stwierdził, że właśnie tak wygląda oblicze najprawdziwszej śmierci. Pod gęstą, ubłoconą brodą odnalazł wyraźny ślad po sznurze – „pamiątkę”, która miała mu towarzyszyć już na zawsze. W lusterku ujrzał coś jeszcze. Coś, o czym dawno zapomniał.

Pod ścianą za jego plecami okryta starym kocem stała rzeźba. Nie wstając z krzesła pozbył się narzuty. Widok znajomej twarzy sprawił, że w klatce piersiowej coś drgnęło. Mimowolnie sięgnął do kieszeni spodni, skąd wyciągnął zgiętą na czworo kartkę. Rozkładał wilgotny papier z największą troską. Nawet najmniejsze rozdarcie byłoby zbyt dotkliwym błędem. Litery już nieco wyblakły, ale zdjęcie młodej dziewczyny trzymającej kota na rękach było całkiem wyraźne.

Gdziekolwiek by się nie ruszył, wszystko było prześiakanie wspomnieniami. Wzgórze, pień z wrytym sercem, polne kwiaty, wilcze jagody, kołysanka.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Quentin, dodano 27.11.2018 10:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.